

Kapitalizm, libertarianizm i przyprawianie gęby

W ostatnim (56-58) numerze Anarchistycznego Magazynu Autorów „Mać Pariadka” ukazał się artykuł zatytułowany „Anarchizm i kapitalizm” będący tłumaczeniem anonimowego (podpisany jest jedynie tłumacz - K. S.) tekstu z internetowego archiwum „Spunk Press”. Autor artykułu przypuszcza w nim wściekły atak na tych anarchistów, którzy nie identyfikują się z socjalizmem - jak wynika z jego treści, chodzi o popularne zwłaszcza w Ameryce Północnej środowisko określające się mianem „libertarian” (wolnościowców), z którym to środowiskiem się utożsamiam i staram się popularyzować w Polsce idee jego czołowych postaci, takich jak David Friedman, Murray Rothbard, David King, Stefan Blankertz, Christian Michel czy Brian Micklethwait. Odmawia on temu środowisku - a więc i mnie osobiście - prawa do nazywania się „anarchistami”, obrzucając jego przedstawicieli epitetami „prawicowych” i „prokapitalistycznych” „utopistów”. Przypisawszy im te etykiety, skupia się w pozostałej części swojego artykułu na krytyce realnie istniejącego ustroju zwanego kapitalizmem (pojęcie to rozumiane jest przezeń dość szeroko, do jego przedstawicieli zaliczani są tu m. in. Mussolini i Hitler) oraz udowodnianiu, że znane z historii ruchy anarchistyczne zawsze były „socjalistyczne” (słowo to nie jest przez autora zdefiniowane, można jednak się domyśleć, że rozumie on pod tym pojęciem opowiadanie się przeciwko prywatnej własności środków produkcji).

Jedynym argumentem, mającym prawdopodobnie świadczyć o tym, że „libertarianie” są „prokapitalistyczni” w sensie, że stoją po tej samej stronie barykady, co klasa kapitalistów, wielkie korporacje, wreszcie i samo państwo, które, zdaniem autora, „gdyby (...) nie istniało, libertarianie musieliby je wynaleźć”, jest uznanie istoty kapitalizmu i kapitalistycznego wyzysku w prywatnej własności środków produkcji - przy czym, gwoli wyjaśnienia, nie chodzi tu o ziemię czy bogactwa naturalne, ale wprost o „fabryki i tym podobne rzeczy (...) posiadanie maszyn”. Ponieważ (choć nie jest to jasno powiedziane w rzeczonym artykule), wolnościowcy są zagorzałymi zwolennikami prywatnej własności środków produkcji (przy czym słowo „prywatny” nie musi oznaczać tu „indywidualny” ani też „własność” w tym ujęciu nie musi pokrywać się z tym, co obecnie jest uznawane za prawowitą własność przez państwowe ustawodawstwo), opowiadają się zatem, zdaniem autora, za istotą kapitalizmu i wyzysku. Autor uzasadniając swoje stanowisko powołuje się m. in. na Pierre'a Josepha Proudhona, przytaczając jego znany cytat „własność to kradzież”. Odnoszę czasami wrażenie, że cytat ten jest jedynym fragmentem dzieł Proudhona, który znany jest tym osobom utożsamiającym się z nazwą „anarchizm”, które argumentują przeciw prywatnej własności środków produkcji. W rzeczywistości Proudhon, przynajmniej w późniejszym, dojrzałym okresie swej twórczości (zalicza się tu m. in. pracę *O sprawiedliwości w rewolucji i kościele*, w której to przedstawił on zasady tego, co zwykło się nazywać proudhonowskim mutualizmem) wyraźnie opowiadał się za prywatną własnością, także środków produkcji, a źródło niesprawiedliwości i wyzysku widział jedynie w „nierównych” jego zdaniem wymianach. (Co ciekawsze, Proudhon w tej ostatniej pracy przeciwstawia swój mutualizm tak „komunizmowi”, przez który rozumie teorię głoszącą, że słuszne jest wszystko to, co uzna za słuszne społeczność czy też większość tej społeczności, jak i... „anarchizmowi”, przez który rozumie teorię głoszącą, że słuszne jest to, co samorzutnie wyniknie z wolnej gry sił, a przypisywaną (błędnie) skrajnie liberalnym ekonomistom, takim jak Frederic Bastiat czy Gustave de Molinari¹⁾, notabene zaliczani do prekursorów przez wielu współczesnych wolnościowców). Proudhon obszernie wyjaśniał w różnych miejscach swych dzieł, co naprawdę oznacza sformułowanie „własność to kradzież”. Niestety, nie mam w tej chwili pod ręką jego książek, tak więc posłużę się tu wyjaśnieniem z Przypisu Zain do trylogii *Illuminatus!* Roberta Shea'y i Roberta Antona Wilsona:

„Własność jest złodziejstwem” znaczy tyle, że własność, ustanowiona na mocy sztucznych praw oraz feudalnych, kapitalistycznych i innych autorytarnych społeczeństw, opiera się na zbrojnej grabieży. I tak klasycznym modelem posiadania są tytuły ziemskie; pierwotnym środkiem wymiany były tu strzały i miecze”²⁾

Tak więc wyraźnie chodzi tu o nadawane, uznawane i wymuszane przez państwo tytuły własności legalizujące dokonywany przez nie, przy jego pomocy lub za jego akceptacją rozbój. W przeciwieństwie do tego autor artykułu rozumie tu „kradzież” w duchu całkowicie marksistowskim, tłumacząc:

„Właśnie posiadanie środków produkcji jest tą częścią własności, w wypadku której kradzież naprawdę ma miejsce. Robotnik pracujący w fabryce wytwarza w ciągu tygodnia dobra warte 600\$, z czego, po sprzedaży, 400\$ stanowi zysk dla właściciela środków produkcji. Następnie właściciel ten płaci robotnikowi 200\$, kradnąc kolejne 200\$ dla siebie. W modelu tym właściciel nie musi wykonywać żadnej pracy (choć niektórzy jakąś pracę wykonują) - wystarczy mu/jej posiadanie maszyn. Na tym polega złodziejstwo. (...) W jaki sposób właściciel doszedł do posiadania tego kapitału jest w tym modelu nieistotne - mogło to nastąpić poprzez pracę w speluncie fast-food przez 24 godziny na dobę, 7 dni w tygodniu przez 20 lat. Mógł to być majątek przekazywany w rodzinie nawet od czasów wielkiego pradziadka, który zrobił go porwijąc ludzi z Afryki i sprzedając ich w Ameryce”.

Ponieważ „Mać Pariadka” z niewiadomych względów odkąd pamiętam odrzucała mi właśnie te teksty, które poświęcone były krytyce tego punktu widzenia, pozwolę sobie na zapolemizowanie z tym tokiem rozumowania.

Przede wszystkim należy zauważyć, że pisząc, iż „kradzieżą” jest samo w sobie „posiadanie środków produkcji”, autor rzeczony tekstu uznaje za złodziei nie tylko tych przedsiębiorców, którzy zatrudniają pracowników najemnych, ale także osoby samozatrudnione oraz spółki, w których większość czy nawet 100% udziałów należy do ich pracowników. To też niewątpliwie jest posiadanie środków produkcji. Rozumowanie przytoczone na poparcie tej tezy jest tu całkowicie nieprzystające.

Następnie, przyjęte jest tu w sposób niejawni założenie, że owe dobra warte 600\$ są wynikiem li tylko wysiłku włożonego przez owego robotnika. Otóż jest to oczywista nieprawda - bez maszyn, o których mówi autor, dobra te w ogóle nie mogłyby zostać wyprodukowane, tak więc do ich powstania przyczyniła się nie tylko praca bezpośredniego wytwórcy - robotnika, ale i praca osób, które skonstruowały te maszyny, a następnie przeznaczyły je do tej właśnie produkcji. Nie są to jedynie fizyczni robotnicy, ale także inne osoby zatrudnione w procesie produkcji - projektanci, menedżerzy organizujący produkcję i przedsiębiorcy ryzykujący skierowanie swoich pieniędzy i środków akurat na ten cel, a nie np. na konsumpcję (jeśli kupując świeżo emitowane akcje jakiejś spółki, oznacza to, że wymieniam swoje pieniądze - a za ich pośrednictwem swoją pracę, założysz, że tych pieniędzy komuś nie skradłem, tylko zwyczajnie zarobiłem - na kapitał (maszyny itd.) owej spółki, tym samym nie mogąc ich już wymienić np. na telewizor. Mogę po jakimś czasie na tym zyskać (i dlatego to w ogóle robię), ale mogę też stracić). Tak więc nawet jeśli przyjąć, że właściciel maszyn nic już w tej chwili dla produkcji nie robi, nie oznacza to, że nie przyczynił się swą pracą do powstania wyprodukowanych dóbr. Jeśli rzeczywiście, tak jak to opisuje autor tekstu, ciężko pracował przez wiele lat, by następnie w wyniku dobrowolnej transakcji wymienić zgromadzone środki na owe maszyny (czyli wymienić owoce swej pracy na owoce pracy innych ludzi), to fakt istnienia miejsca pracy jest jego zasługą, wynikiem jego pracy, straconego czasu, włożonego wysiłku oraz - co nie najmniej ważne - podjęcia ryzyka zainwestowania wszystkiego tego w kapitał, a nie np. paroletnie wczasy na Bermudach. Twierdzić, że całe te 600\$ (trzeba tu pamiętać, że po wyprodukowaniu dobra te trzeba za tyle sprzedać, co też nie jest najczęściej zasługą tego robotnika, a często otrzymuje on swą zapłatę zanim zostaną one sprzedane - nawet w sytuacji, gdy okaże się, że nie da się ich sprzedać powyżej kosztów produkcji i firma ponosi stratę) jest zarobione wyłącznie przez owego modelowego robotnika, jest rzeczą śmieszną. Interesujące, że ci, którzy taką teorię głoszą, dobrze rozumieją zarazem niezbędność kapitału w procesie produkcji, domagając się jego przekazania tym, którzy dysponują siłą roboczą. Na marginesie, większość właścicieli środków produkcji również pracuje, często dłużej i ciężiej niż ich najemni pracownicy (mogą to zaobserwować choćby w firmie, w której sam pracuję). I nie jest to bynajmniej, jak utrzymywał np. Lenin, jedynie księgowość i statystyka.

Jak więc wycenić, ile z tych 600\$ należy się naszemu modelowemu robotnikowi, a ile właścicielowi? Nie ma

tu, jakby niektórzy chcieli, obiektywnego sposobu obliczenia wartości czyjegoś wkładu w uzyskanie tych 600\$. Jak sprowadzić do wspólnego mianownika jakościowo odmienne rodzaje pracy? O tym, jaka część komu przypadnie, decyduje umowa między pracownikiem a pracodawcą. Fakt zawarcia takiej umowy oznacza, że zapłata, jaką otrzymuje pracownik jest dla niego więcej warta, niż wkładana przez niego praca, a z kolei dla pracodawcy świadczona mu przez pracownika usługa jest więcej warta, niż pieniądze przeznaczone na jego pensję. Każda ze stron zyskuje. Oczywiście odbywa się to zawsze w określonym kontekście, wyznaczanym przez takie rzeczy, jak warunki życia pracownika, zamożność pracodawcy, rzadkość specjalizacji pracownika czy ogólna ilość miejsc pracy - czyli kapitału - w danym rejonie, a także stopień zorganizowania środowiska pracowniczego (z którym wiążą się przewidywania pracodawcy dotyczące możliwości ewentualnych strajków) czy warunki stawiane przez państwo (podatki, odgórnie narzucony państwowy kodeks pracy). Ogólnie im kapitał jest rzadszy, a siła robocza pracownika łatwiej uzyskiwalna, tym warunki umowy są korzystniejsze dla pracodawcy, a mniej korzystne dla pracownika. Dlatego niewykwalifikowany robotnik na ogół zarabia mniej od chirurga; dlatego tam, gdzie związki zawodowe monopolizują siłę roboczą, działając jak kartele, pracownicy zarabiają więcej; dlatego w rejonach, gdzie jest większe nasycenie kapitałem, pracownicy zarabiają za tę samą pracę więcej niż w rejonach, gdzie kapitał jest rzadszy.

„Ile należy się” jest pytaniem, jaki podział jest sprawiedliwy. Z braku obiektywnej miary musimy skupić się na warunkach dokonywania tego podziału. Jeśli umowy są dobrowolne, nie są wynikiem agresywnego przymusu jednej ze stron lub z zewnątrz, a także nie są wynikiem takiego przymusu warunki, w jakich się je zawiera (tzn. kapitał nie pochodzi z pozbawienia pracowników posiadanych lub użytkowanych przez nich dóbr - jak np. w przypadku zagarnięcia siłą czyjejsz ziemi), należy się tyle, ile stanowi umowa. Nawet, jeśli jedna ze stron będzie zabierać 99%, a druga 1% zysku.

Co jednak, jeśli kapitał powstał rzeczywiście w wyniku przymusu? O ile nie można ustalić poszkodowanych, to wśród wolnościowców nie ma tu jednolitego stanowiska. W przypadku kogoś, kto, jak pisze nasz autor, odziedziczył majątek po pradziadku handlującym niewolnikami, osobiście skłaniałbym się za uznaniem jego prawa do tego majątku. To prawda, że ściśle rzecz biorąc majątek ten pochodzi z kradzieży, choć jego obecny właściciel nie jest złodziejem. Jednak jakakolwiek zmiana posiadacza (np. przez wywłaszczenie siłą prawnuka handlarza niewolnikami) nie zmieni tu faktu, że majątek ten będzie dalej rezultatem kradzieży. W tej sytuacji nie wydaje mi się rzeczą słuszną atakowanie osoby, która sama do tej kradzieży nie przyłożyła ręki. Tym niemniej, wbrew temu, co napisał autor naszego artykułu, jest istotne, skąd pochodzi kapitał i czy zdobyto go w wyniku uczciwej pracy, czy też nie.

Podsumowując, samo w sobie posiadanie środków produkcji ani nie jest kradzieżą, ani nie stanowi istoty kapitalistycznego wyzysku. Tym niemniej wyzysk ten rzeczywiście istnieje i mówić, że wolnościowcy są w tym sensie „prokapitalistyczni”, że go popierają, jest nonsensem. Owszem, niektórzy wolnościowcy (jak np. David Friedman) nazywają się sami, dla odróżnienia od anarchosocjalistów, „anarchokapitalistami”. Nie oznacza to jednak, że popierają oni obecnie istniejący system zwany powszechnie kapitalizmem. Słowo „kapitalizm” w ich ujęciu znaczy tyle, co „wolny rynek” i należy mieć to na uwadze, nawet jeśli twierdzi się, że jest to błędne użycie tego słowa. Natomiast wyzysk w realnym kapitalizmie dokonywany jest, zdaniem wolnościowców, głównie przy pomocy państwa jako takiego, tzn. państwowego aparatu przymusu. Wyzysk bierze się z (agresywnego) przymusu. Przy umowie dobrowolnej obie strony zyskują, ale w wyniku zastosowania przymusu jedna ze stron (ta przymuszona) zawsze traci kosztem drugiej, ponieważ stan końcowy (po zastosowaniu przymusu) jest dla niej zawsze mniej korzystny niż stan początkowy.

W jaki sposób państwo dokonuje tego wyzysku? Ano, dokładnie w ten sposób, w jaki przedstawił to dalej autor naszego tekstu: taryfy celne, subwencje i płacenie za infrastrukturę (drogi, edukację itp.) z kieszeni podatnika, w ostateczności wypowiedzanie wojen. Można tu dodać zamówienia rządowe na koszt podatnika, manipulowanie zmonopolizowanym pieniądzem, narzucanie monopolii (koncesje), wreszcie ochronę pochodzących z grabieży tytułów własności. Korzystają na tym (obok polityków i biurokracji)

rzeczywiście kapitaliści, choć z pewnością nie wszyscy. Uważać, że gdyby państwo nie istniało, wolnościowcy (rzekomo w interesie tychże kapitalistów-wyzyskiwaczy) "musieliby je wynaleźć" jest pełnym zlej woli przyprawianiem gęby.

Krytykując kapitalizm, autor co rusz podkreśla, że anarchiści zawsze i wszędzie z nim walczyli, ergo byli socjalistami. Jeśli rozumieć kapitalizm jako realny system, który rozwija się od ponad dwustu lat i w którym obecnie żyjemy, to być może jest to racja, ale krytykowany przez niego "libertarianie" też z tym systemem walczą! Natomiast jeśli rozumieć kapitalizm inaczej (np. jako każdy system oparty na prywatnej własności środków produkcji) to już tak nie jest, czego dowodem jest np. berlińska Deklaracja Anarchistów Indywidualistów z 12 sierpnia 1910 r., której sygnatariusze stwierdzają m. in.: "własność jest niezbędną dla wolności i niezależności jednostki (...). Kapitalizm sam w sobie nie jest wrogiem, nie jest instrumentem wyzysku"³⁾. Zwolennikami prywatnej własności środków produkcji byli także tacy znani anarchiści, jak Lysander Spooner (który walcząc z państwowym monopolem pocztowym założył własną prywatną firmę pocztową)⁴⁾ czy Benjamin Tucker, a i wspomniany wyżej Pierre Joseph Proudhon (choć z pewnymi zastrzeżeniami). Zaś co do socjalizmu... W 1844 r. znany amerykański działacz anarchistyczny William B. Greene napisał: "W socjalizmie jest tylko jedna klasa - klasa niewolników"⁵⁾. Utożsamianie ruchu robotniczego z socjalistycznym, jak robi to autor naszego artykułu, jest nonsensem - wspomniany Spooner i Greene byli członkami I Międzynarodówki, zaś Greene współpracował z robotniczą organizacją zwaną *Ryccerze Pracy*⁶⁾. Zresztą, gdyby konsekwentnie zastosować rozumowanie naszego autora, to „Solidarność” musiałaby być ruchem socjalistycznym...

Również obecnie są anarchiści będący zwolennikami prywatnego posiadania środków produkcji, i to niekoniecznie zaliczający się do środowiska krytykowanego przez autora "libertarian". Przykładem może być tu wydawca ukazującego się od 1969 r. pisma „The Match!”⁷⁾, Fred Woodworth. Również autorzy zamieszczonego w Internecie eseju "Zgoda albo przymus"⁸⁾ wyjaśniającego, czym jest anarchizm, akceptują jako anarchistów zwolenników takiej opcji, przedstawiając ich argumenty.

Na koniec chciałbym odnieść się do wprowadzającego omawiany tekst wstępu autorstwa L. A. Pisze on o niebezpiecznej bezkrytycznej fascynacji "tzw. „wolnym rynkiem” wśród co niektórych, określających się mianem anarchistów". Chciałbym powiedzieć, że ci „co niektórzy” (w tym i ja) bardzo krytycznie odnoszą się do tzw. „wolnego rynku”, pod którym to pojęciem wielu liberałów, socjaldemokratów i innych zwolenników status quo rozumie obecną zetatyzowaną gospodarkę. Natomiast jeśli chodzi o rzeczywisty wolny rynek, to cóż niebezpiecznego w opowiadaniu się za swobodą składania, przyjmowania i odrzucania ofert, bo to właśnie oznacza owo pojęcie?

Jacek Sierpiński

P. S. Gwoli wyjaśnienia i a propos postawionej przez autora omawianego artykułu tezy, że "libertarianie" zdają się "dominować zwłaszcza w białej, wyedukowanej na uniwersytetach klasie średniej" - jestem najemnym pracownikiem w firmie komputerowej, wykonującym prace głównie umysłowe - ale zdarza się mi też popracować śrubokrętem czy poprznieść zawożony do klienta towar - zarabiającym grubo poniżej tego, co w Polsce, nie mówiąc już o Europie Zachodniej czy Stanach, zwykło się uważać za dolną granicę zarobków klasy średniej. Jeśli zaś chodzi o moją edukację - fakt, studiowałem, z tym, że studiów nie ukończyłem...

¹⁾ Artykuł Gustave'a de Molinariego "Produkcja bezpieczeństwa" ukazał się w „Mać Pariadce” nr 22 (4/94).

²⁾ R. Shea, R. A. Wilson, *Lewiatan*, Zysk i S-ka Wydawnictwo s. c., Poznań 1995, str. 256.

³⁾ Zob. Daniel Grinberg, *Ruch anarchistyczny w Europie Zachodniej 1870-1914*, Wydawnictwo Naukowe PWN,

Warszawa 1994, str. 151.

⁴⁾ Fragmenty eseju Lysandra Spoonera "Konstytucja bez autorytetu" ukazały się w „Mać Pariadce” nr 40 (10/95).

⁵⁾ Zob. D. Grinberg, j. w., str. 150.

⁶⁾ Zob. Tomasz Żyro, Boża plantacja. Historia utopii amerykańskiej, Wydawnictwo Naukowe PWN sp. z o.o., Warszawa 1994, str. 245.

⁷⁾ Adres: Fred Woodworth, P. O. Box 3012, Tucson AZ 85702, USA.

⁸⁾ Oryginał tego eseju można przeczytać w Internecie pod adresem <http://www.andrew.cmu.edu/~ctb/anarchy/docs/consent.html> [<http://www.andrew.cmu.edu/~ctb/anarchy/docs/consent.html>].